

Poniższe felietony ojca Freemana ukazały się w brytyjskim czasopiśmie chrześcijańskim THE TABLET. Przedruk za pozwoleniem.

Melbourne, grudzień 2009
Światowy Parlament Religii

Czas na dobre wiadomości.

„Fiasco politycznych przywódców dokonania politycznych ustępstw koniecznych dla wypracowania nowej globalnej wizji przekraczającej prymitywny egotyzm naszych przodków.” „Kościół irlandzki postępuje na drodze samozniszczenia w swym zaparciu się wobec łaski kenosis.” „Nieposkromiona chciwość tych, którzy dorabiają się fortun na niczym kosztem tych, którzy zostali omamieni i wciągnięci w handel konsumpcjonizmu.” „Niewygodne pytanie, dlaczego lata żarliwej modlitwy raczej prowadzą do większego wrodzonego narcyzmu niż go pomniejszają.”

Łatwo jest usprawiedliwić pesymizm. Biblia zna tego liczne przykłady. Jest to niemalże metoda ucieczki od łatwego optymizmu w wydaniu tych, którzy liczą jedynie na następną kadencję utrzymania swych satanowisk. Jednak kiedy Pismo Św. zanurza się w przepaść ciemności i ludzkiej słabości, to one zawsze obracają się w stronę światła. Znajdujemy w nich łaskę w całkowicie odmiennej postaci, tak że nadzieja staje się nie do uniknięcia. Niespodziewanie ożywia się i rozwija nasze pojmowanie tajemnicy Boga, tak że wiedza dotychczas zdobyta na Jego temat, staje się w tym momencie przestarzała i zbędna.

W brytyjskiej komedii „Jak w zegarku” John Cleese gra opanowanego obsesją punktualności szkolnego dyrektora. Pewnego dnia w czasie podróży na prestiżową konferencję spóźnia się na pociąg i jego życie w jednej chwili zamienia się w ciąg nieprzewidzianych wydarzeń z pogranicza greckiej tragedii i humoru Monty Pythona. W jednej ze scen w akcie rezygnacji zatrzymuje się w klasztorze skarykaturowanych mnichów odmieńców, uciekinierów od prawdziwego życia. Gdy już zupełnie traci nadzieję na dotarcie na czas na spotkanie i dając za wygraną leży w wannie biorąc kąpiel, nagle słyszy warkot silnika czekającego nań samochodu i zdaje sobie sprawę, że pojawiła się ostatnia szansa dotarcia do celu na czas. „To nie rozpacz boli najbardziej” – skarży się – „to nadzieja”.

Kiedy media biją w bębny pesymizmu, to one tylko z nim flirtują. Nie dają nam najmniejszych szans by wziąć sprawy na poważnie. Z chwilą gdy tylko wiadomości stają się zbyt złowrogie, media serwują nam coś na pociechę. Odciągnięci od prawdy, która ukrywa się w ciemnych zakamarkach rzeczywistości, zostajemy wciągani w budujące serca przyjemne opowiadki o filantropach - graczach w golfa, czy też w małżeńskie skargi i zale celebrytów.

Tuż po klęsce szczytu klimatycznego w Kopenhadze w grudniu 2009 odbyła się następna ogólnoświatowa konferencja z mniej ustalonym porządkiem obrad i mniejszym medialnym nagłośnieniem - Światowy Parlament Religii. Do ogromnej sali konferencyjnej w Melbourne przybyli przedstawiciele 230 religii. Kto by pomyślał, że jest ich aż tak wiele? Reprezentanci przyjechali na własny koszt a ich przybycie pozostawiło po sobie olbrzymi energetyczny „odcisk węglowy” wielkości stopy yeti. Przybyli głównie po to, aby ze sobą porozmawiać ale było to również wielkie widowisko wizualne z całym kalejdoskopem rytualnych strojów i imprez

towarzyszących. Przyglądając się temu, czuło się jak rośnie w człowieku miłość do rodzaju ludzkiego, na tym Bożym podwórku pełnym Jego kolorowych ołówków. Jak zwykle przy takich okazjach egotyzm był skrętnie chowany głęboko pod poły szat i zewsząd wybrzmiewały hurrażadania działań wspólnych i globalnych. Co prawda przyłapano Irańczyków, jak z ukrycia fotografowali przedstawicieli religii Bahai, ale na ogół panował wewsząd doskonały nastrój. Wymiana kontaktów i burze mózgów, szczególnie wśród młodszych delegatów, brzmiały bardzo zachęcająco i obiecująco. Panowało powszechne przekonanie, że religia sama w sobie - pomimo ludzkich ułomności jej przywódców - jest czymś pozytywnym, znakiem pierwotnej niewinności ludzkości, a nawet studnią nadziei w dzisiejszym świecie, który powoli zamienia się w jałową pustynię.

Jednak, jak już dobiegł końca ostatni dzień kongresu z ulgą wsiadałem do taksówki, aby wreszcie udać się do mego przytulnego schronienia na terenie katedry katolickiej, gdzie mnie szczerobliwie goszczono. Za kierownicą siedział młody Indus. „Proszę do katedry katolickiej” powiedziałem, a on spojrzał na mnie niepewnie. Nie miał zielonego pojęcia, dokąd jechać. Ja zapomniałem nazwy ulicy, a moje kolejne opisowe próby przybliżenia położenia katedry spełzły na niczym. W końcu ruszyliśmy, gdy po kilku telefonach udało mi się wreszcie ustalić dokładny adres katedry. Mój miły globalny nastrój kongresu zamienił się w wewnętrzny przypływ krwi do mózgu. Na siłę powstrzymywałem irytację, ale w środku aż kipiałem. Chłopak przyglądał mi się rusz co rusz we wstecznym lusterku, aż widocznie widząc mój zakonny habit, zapytał: „Przepraszam sir, ale czy jest pan kimś w rodzaju księdza?” Pytanie ugodziło we mnie siłą ostrej nagany, zapewne ze względu na mój wewnętrzny nastrój, a nie z jego zamiaru. Był głęboko wierzącym hinduistą, niestety nie mógł uczęszczać na nabożeństwa, bo jego świątynia znajdowała się daleko, a on musiał pracować do późnych godzin nocnych. Pytał jak to jest ze spowiedzią w kościele katolickim, bardzo go to dziwiło. „To ludzie mogą tak sobie pójść do księdza i z nim o wszystkim porozmawiać?”. Kiedy już dotarliśmy do katedry rozmowa potoczyła się dalej na jej parking. Skarżył mi się, jak bardzo martwi go jego stan psychiczny, brak koncentracji i utrata życia duchowego. Nie, nigdy nie medytował i z wielką wdzięcznością przyjął moją radę, jak może wielbić Boga w świątyni swego serca. Podarowałem mu hinduski różaniec, który dostałem od jednego z uczestników konferencji.

Wysiadłem z taksówki pokornie dziwiąc się dokonanej na mych oczach epifanii, przywróconej nadziei, wdzięczny za odczucie łagodnego powiewu Boga przechodzącego przez miejscowe podwórko. To ogólnoswiatowe jest po prostu czasami nazbyt duże.

With much love

Laurence Freeman OSB

Japonia, październik 2009

Religia może przybierać wiele form wyrazu, niektóre bardziej prawdziwe od drugich. Zawsze marzyłem o zobaczeniu wulkanu Fudzi – ikony Japonii, oddalonego o dwie godziny jazdy pociągami z Tokio, i inspiracji wielu poetów i malarzy. Zaproszenie na wycieczkę na Fudzi otrzymałem podczas mego październikowego pobytu w Japonii. Gospodarzem miał być kapłan buddyjski, opiekujący się małą świątynią w pobliskim mieście. Z wyjątkowym wdziękiem i uprzejmością przywitał nas na dworcu autobusowym i po zwiedzeniu jego świątyni, towarzyszył nam w lunchu.

Świątynia to może zbyt dużo powiedziane. Było to raczej przepiękne miejsce kultu szintoistycznego, otoczone miejskimi budynkami i podwórzami. Można by je porównać do niewielkiego kościołka parafialnego. A jednak wizyta tam okazała się dla mnie pewnego rodzaju objawieniem, biorąc pod uwagę ostatni dzień mojego pobytu w Japonii, któremu w całości towarzyszyła lekka irytacja niespotykanością i skomplikowaniem japońskiej kultury i obyczajowości. Było to ulotne uchwycenie czegoś zasadniczego z japońskiego ducha, co do pewnego stopnia tłumaczyło, dlaczego tylu przybyszów z Zachodu zostaje w tym kraju na zawsze, dobrze wiedząc, że nigdy nie opuszczą społecznego pobocza jako obcokrajowcy. O. William Johnston, którego stan zdrowia pozostaje bardzo poważny po ciężkim zeszłorocznym udarze mózgu, jest jednym z nich. Odwiedziłem go w szpitalnym pokoju w jego ośrodku jezuickim i medytowaliśmy razem. Wszyscy oni mówią oni o Japonii, jak o miłości bez wzajemności, znajdując szczęście bycia w samej bliskości tego, co pokochali.

W religii Japonii chodzi o dawanie sobie rady z przeciwieństwami życia w sposób pełen godności. Nie ma w niej wielkich dogmatów i wielkiej metafizyki. O wiele ważniejsze od Wielkich Pytań są rytuał i ascetyzm. Nasz gospodarz opisał swe obowiązki dnia: odprawienie rytualnych modłów wczesnym rankiem i wieczorem, zadbanie o porządek budynku i otoczenia, rozmowy z ludźmi o ich problemach, wizyty u chorych. Był człowiekiem pełnym spokoju, nieco powściągliwym, ale z poczuciem humoru, baczny obserwator, bardzo uważny i pełen gościnności. Pokazał mi fotografię swojej młodej żony, która niedawno zmarła. Fotografia stoi na półce na podwórku świątyni wśród innych pamiątek po zmarłych członkach jego wspólnoty wiernych. Świątynię pomagają prowadzić dwaj jego synowie, którzy poszli w ślady ojca i jego matka, która też wywodzi się z linii kasty kapłańskiej. Z czasem i niezauważalnie stworzyli tutaj we czwórce mały raj na ziemi. Prowadzenie świątyni jest w Japonii sprawą dziedziczości, tak jak to było kiedyś z wieloma kościołami w Europie, religijna forma, która może czyniła z nich miejsca więźszego spokoju.

Po posiłku ojciec z synem zaprosili nas na ceremonię picia herbaty w specjalnie do tego przystosowanym pokoju. Wielu chrześcijan widziało w niej elementy obrzędu Eucharystii. Na pewno łagodna uważność i naturalność, z którą nalewali herbatę przydałaby się do weryfikacji pośpiechu, z jakim my często odprawiamy Mszę Świętą. Po wypiciu herbaty ruszyliśmy samochodem w stronę pokrytej chmurami góry Fudzi. Kiedy tak jechaliśmy kapłan ostrzegł nas, że jest ona bóstwem żeńskim, stąd należy się spodziewać po niej wszystkiego i może tak będzie, że nie zobaczymy dzisiaj szczytu. Na szczęście była ona tego popołudnia łaskawą i udało nam się zobaczyć jej nagie stoki i jeszcze nie pokryty śniegiem wierzchołek wygasłego wulkanu.

Ta rodzinna świątynia i oaza spokoju w jednym nie wychodziła mi z głowy, kiedy brałem ostatnio udział w Światowym Kongresie Oblatów Benedyktyńskich w Rzymie, wielu z nich mających rodziny, idących drogą Reguły św. Benedykta. Z moich rozmów z mnichami na całym świecie jawi mi się coraz wyraźniej schyłek starych instytucji religijnych i bezużyteczny wysiłek, który wkłada się w zaprzeczanie ich odchodzenia w przeszłość. Wielu z oblatów ma to samo przeczucie. Starsi z nich mają jeszcze nadzieję, że stare i znane formy monastycyzmu ich przeżyją. Więc nic nie robią, żeby coś zmienić. Jedna z oblatek z wielkim rozrzewnieniem opowiadała mi, jak lubi siedzieć w ławie kościelnej przed jutrznią i wsłuchiwać się w kroki zbierających się mnichów. Rozpoznaje ich po tych odgłosach. Dla innych oblatka to sposób na życie, indywidualne powołanie. Coraz bardziej zdaję sobie sprawę, jak dużo bzdur wypowiadamy w dyskusjach nad spadkiem powołań kapłańskich. Główny kryzys leży w naszym sposobie patrzenia i jak daleko w języku religii oddaliliśmy się od rzeczywistości.

Nowe formy monastycyzmu są potrzebne i nieuniknione. Mniejmy nadzieję, że będą one wspierane przez tradycyjne instytucje zakonne praktykujące przede wszystkim „zaparcie się siebie”, jak zachęcał św. Benedykt. A jak nie, to i tak one powstaną, bo „mnich w tobie” będzie potrzebował się jakoś określić. Tak czy owak świat potrzebuje odnowy form religijnych, które będą oddychać wewnętrznym pokojem, tak jak doświadczyłem tego w tej małej japońskiej świątyni. Religia potrzebuje tego do przeżycia, tak jak nasza planeta potrzebuje drzew. Życie kontemplatywne, niezależnie od tego, jak bardzo spychane na margines przez oficjalne instytucje religijne, jest ich elementem oczyszczającym. Te nowopowstające formy religijności będą przebywać w ciszy kontemplacji i dzielić się nią bardziej, niż ma to miejsce dzisiaj.

A przede wszystkim ich doświadczenie pomoże nam odkryć na nowo poczucie czasu. W takich miejscach będzie i czas na herbatę i na odprawienie Mszy z największą radością i przyjemnością.

With much love

Laurence Freeman OSB

Norwegia, lipiec 2009

Zrządzeniem Opatrzności było to w dzień przed letnim przesileniem i biała noc w Skandynawii dochodziła zenitu. Więc późno, ale jakby w nadprzyrodzonym świetle szliśmy na szczyt wzgórza do kościoła w Hedal. Stoi on niejako zarządzając widokiem na zalesione wzgórza i doliny, a pokolenia wiernych śpią na jego cmentarzu. To jeden z pozostałych 29 drewnianych średniowiecznych kościołów w Norwegii, przetrwał ponad tysiąc innych kościołów zbudowanych po powrocie Olafa Haraldssona. W 1015 roku Olaf przywiózł nową wiarę w Białego Chrystusa, który usunął w cień wierzenia w nordyckich bogów.

Wikingowie udoskonalili sztukę drewnianych konstrukcji budując z bali statki i domy, a drewniane kościoły słupowe stawiane głównie na świętych staronordyckich miejscach wykorzystały ją, aby stworzyć miejsca silnego kultu chrześcijańskiego. Na zewnątrz mogą wyglądać jak mniejsze, drewniane wersje świątyń tajskich. Pełne wdzięku, a przy tym bardzo solidne i mocno osadzone w gruncie, swymi krytymi gontem dachami wspinającymi się ku górze przypominają sosnowe szyszki. Ostatnie z tych drewnianych świątyń, które kiedyś można było spotkać w całej Europie, wywodzą swą nazwę od słowa *stafr* oznaczającego słupy wspierające ciężar dachu, co w tak dobitny sposób ucieleśnia wertykalizm teologii.

Wejście do norweskiego kościoła słupowego jest wąskie. Jak wszystko w tych przeświadczonych o swej samowystarczalności materialnych symbolach duchowego doświadczenia, ma to pewien sens. Wydaje się przypominać nam, że wejście w obecność Boga oznacza przejście przez drzwi świadomości. Wchodzimy samotnie w przestrzeń Świętego z jak najmniejszym bagażem. Wąskość jest świadomością indywidualną. Nabożeństwo odprawiane jest po drugiej stronie od wejścia, nie jako niezobowiązująca niedzielna rutyna, ale spotkanie, które łączy psyche i uniwersum.

Trudno nie zatrzymać się w pół drogi i nie zwrócić uwagi na kunsztowne rzeźbienia całego portalu bez pokusy rozszyfrowania ich znaczeń, albo historii kryjącej się za nimi. Po chwili odkrywamy głowy i ogony smoków, które wiją się w szale pogmatwanej i szyderczej bitwy. Niepokojąco wydaje się, że nie jest to tylko konwencjonalna ilustracja pojedynku dobra ze złem, ale głębszy wgląd w samodestrukcyjność zła. Te ciemne moce, które oddzielają nas od świętości

i dobra, wydają same siebie przy wejściu do miejsca, które przybyły zniszczyć. Jednak przejście przez nie może zaniepokoić. Walka jest wygrana, ale nie skończona.

Będąc wewnątrz kościoła, jesteś jakby w środku głębokiego, ale spokojnego lasu, w miejscu zamieszkania człowieka w sercu natury. Twoje oczy przyzwyczajają się do półmroku i zostajesz mieszkańcem tego nowego świata, który najpierw obejmuje twój zmysł węchu. Drewno, smoła drzewna, może wełniane ubrania zaginionych pokoleń i woń kadzidła. Choć pierwotnie, pod koniec XII w. było to proste kwadratowe pomieszczenie z prezbiterium, w którym znajdował się ołtarz, to powiększenie go w kształt krzyża nie pomniejszyło jego intymności i bezpośredniości. W pobliżu steatytowej chrzcielnicy znajduje się Madonna o różanych policzkach z Dzieciątkiem narzucającym łagodniejszy autorytet. Krucyfiks nad ołtarzem to jedno z największych dzieł sztuki średniowiecznej w Norwegii. Stopy i palce Jezusa są rozszczipione w obrazowym bólu, ale twarz już odnalazła ukojenie.

Według niewątpliwie prawdziwej legendy w XIV w. czarna śmierć znacznie wyludniła dolinę. Rozrósł się las i kościół został zapomniany. Dwieście lat później jakiś myśliwy niecelnie strzelając z łuku usłyszał metaliczny dźwięk. Odkrył dzięki temu dzwon kościelny. Wierząc, że kościół należał do *huldry*, albo ducha lasu, rzucił w niego krzesiwem i w ten sposób odzyskał na powrót dla ludzi. Wewnątrz znalazł śpiącego przed ołtarzem niedźwiedzia. Zabił go, a niedźwiedzia skóra do dziś wisi w zakrystii, jakkolwiek za mała, żeby pełnić rolę moich szat mszalnych - choć miałem taką nadzieję, gdy tylko usłyszałem tę historię.

Jako, że wiele kościołów słupowych ma swoje legendy o zwierzętach, które były w nich zabijane, nie daję tej do końca wiary. Może jacyś nordyccy bogowie wślizgnęli się przez portal pełen wijących się smoków i pozwolili sobie na ofiarę w starym stylu. Jak wiemy dzisiaj, ludzie mogą odczuwać nostalgię za dawną religią. W noc świętojańską ludność Valdres i Adal zwykła była przychodzić na kilka dni hulanki. Tak jak u Wikingów oznaczało to picie i bijatyki. Atmosfera kościoła powstrzymywała przed tym, ale ten zwyczaj nie wygasł dopóki, niestety, pod koniec XIX w. jakiś bardziej skrupulatny pastor go nie zakazał.

Byliśmy bardzo zróżnicowaną wspólnotą. Nowe świeckie legendy przeplatały się ze starymi mitami. Stare pewniki spotkały się z nowymi pewnikami. Ale coś – co obejmują norweskie kościoły – jest bezczasowe. Łamaliśmy chleb i medytowaliśmy po komunii. Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, noc wciąż była bardzo jasna.

With much love

Laurence Freeman OSB

Fara Sabina, czerwiec 09

Nic się nie dzieje

Uważne poruszanie się. Spacerowanie w powolnym tempie w dużym kole z innymi osobami na tarasie z panoramicznym widokiem na subtelne piękno rzymskiej wsi. Rozproszenie przechodzące w ciąg myśli, zmniejszające moją uważność, ale użyteczne dla artykułu, który mam napisać...

Po tym, jak wyjechałem z Anglii, aby wraz z Johnem Mainem założyć nową wspólnotę monastyczną, napisałem do mojego współbrata, młodego mnicha, opowiadając mu o wszystkim, co się działo. List musiał przyjść do niego w złym momencie, gdyż odpowiedział mi raczej

sarkastycznie: dziękując za wiadomości dodał, że jego zdaniem „w prawdziwym życiu klasztornym nic nigdy się nie dzieje”. Gdy zajął wysoki urząd w zakonie na międzynarodowym szczeblu, zastanawiałem się, czy może jednak zmienił pogląd w tej kwestii. Jednakże jego tamta uwaga pozostała we mnie, ponieważ w pewnym sensie zgadzałem się z nim bardziej niż on mógł naprawdę zgadzać się sam ze sobą. Pamiętam jak kiedyś, na długo przed wstąpieniem do zakonu, odwiedziłem jakiś klasztor i przyglądałem się furtianowi siedzącemu przy swoim biurku koło drzwi, gotowemu by odpowiadać na dzwonek, który tak naprawdę rzadko dzwonił. Prawdopodobnie był dobrym furtianem, ale z pewnością nie musiał się rozrywać od nadmiaru pracy. Mój współbrat również zauważył to samo i zażartował na temat braku wydarzeń w życiu monastycznym. Dołączyłem się do tego żartu, ale ku memu zaskoczeniu uświadomiłem sobie, że nie całkiem się z tym zgadzałem. Zobaczyłem nieoczekiwany cel i wartość – jeśli nie w niewykonywaniu niczego, to przynajmniej w wykonywaniu niewielu rzeczy. Już wtedy robienie jednej rzeczy w jednym czasie wydawało mi się nieoczekiwane atrakcyjne, a później było to esencją tego, czego uczył mnie mój nauczyciel John Main. Może był to pierwszy wgląd w znaczenie kontemplacji nauczane przez Tego, który powiedział wypalonej od nadmiaru trosk dziewczynie, że „potrzeba tylko jednego”.

Właśnie zakończyłem tygodniowe rekolekcje medytacyjne niedaleko Rzymu z grupą czterdziestu nauczycieli Światowej Wspólnoty Medytacji Chrześcijańskiej, pochodzących z piętnastu krajów. Za św. Benedyktem, który klasztor nazywał „szkołą służby Panu”, nazywamy to „Szkołą rekolekcji”. Było czterech księży, a pozostałe osoby to przekrój Kościoła, ludzie reprezentujący różne stopnie powiązania z Urzędem i różne drogi życia. Cel rekolekcji mógł wydawać się albo wysublimowany, głęboki, skoncentrowany na sobie, albo po prostu nieokreślony zależnie od indywidualnego punktu widzenia, doświadczenia na drodze medytacji albo nastroju w danym momencie.

Oprócz krótkiej rozmowy osobistej, krótkiej konferencji i bardzo cichej Mszy z półgodzinną medytacją po komunii, utrzymywaliśmy zupełną ciszę. Konferencje dotyczyły natury wiary i wierzeń, i tego jak je rozróżniać, nie były zbyt intelektualne, bardziej dotyczyły wyzwania chrześcijańskiej tożsamości w dzisiejszym świecie. Jakkolwiek by nie było, celem rekolekcji nie było myślenie, ale praca kontemplacji. Jeden z wczesnych mnichów chrześcijańskich opisał modlitwę, jako „odkładanie myśli na bok” i nie chodzi tu, jak mogłoby się niektórym wydawać, o mamroczącą bezmyślność, ale całkiem przeciwnie, o bardzo użyteczną uważność. Zalecane było tylko minimum czytania. Medytowaliśmy siedem razy dziennie, a w przerwach chodziliśmy z uwagą po tarasie z rozległym widokiem. Było to niezwykle, jak każdy uczestnik szybko i z gotowością wchodził w tę zajmującą nie-aktywność (tak samo różną od bezczynności, jak i od nadaktywności). I choć wszyscy odebrali to jako pełne znaczenia, to nie dla wszystkich wskoczenie do głębokiego basenu modlitwy okazało się łatwe, a jedna osoba powiedziała nawet, że chociaż cały czas chętnie medytuje, to dziękuje bardzo, już nigdy nie zrobiłaby tego w taki sposób. Niemniej większość z tych, którzy znaleźli się na tej wewnętrznej pielgrzymce otworzyło się jak kwiaty w promieniach słońca. Rozszerzyli się emocjonalnie i duchowo, odnajdując pokój, radość i odnowione poczucie sensu ważne dla ich życia, pracy, rodziny, albo służby, jaką pełnili. Pragnienia i niepokoje zmniejszyły się. Jedna z osób, która znalazła się na rekolekcjach w czasie trudnej i pełnej obaw zmiany w jej życiu zawodowym smakowała pokój, który przekracza wszelkie rozumienie, ale który też jest podstawą wszelkiego dobrego i wyważonego sądu.

Niezwykłe jest odkrywanie, że szczęście nie leży w mnożeniu, ani nawet w zaspokajaniu pragnień. Dla tych, którzy tego doświadczają, jest to jak zanurzanie się w ośmiu Błogosławieństwach. Duże zmiany w świadomości wydarzały się w ciszy rekolekcji, dla

niektórych może tylko chwilowe, ale dla innych jako nieodwracalne kamienie milowe. Dla nas wszystkich życie stało się prostsze, a wiara stała się głębsza. Czyniąc refleksję nad wiarą i wierzeniami można sądzić, że wgląd Karla Rahnera jest jeszcze prawdziwszy, kiedy mówi, że chrześcijanin przyszłości będzie mistykiem, albo - w ogóle go nie będzie.

Ostatniego wieczoru ze szczególną miłością odprawialiśmy Eucharystię. Gdy w naszych różnych językach, od aramejskiego do suahili odmawialiśmy Ojciec nasz, usłyszeliśmy wyłaniającą się modlitwę języków, muzykę Ducha, która tak często jest zagłuszana w zapracowanym ryku naszych umysłów.

Życie, w którym „nic się nie dzieje”?

With much love,

Laurence Freeman OSB

Rzym, maj 2009

Kanonizacja

Ogłaszanie kogoś świętym, kiedy się nad tym dobrze zastanowić, może się wydawać niezwykle śmiało. Aby było przekonujące, wymaga to stworzenia szczególnej atmosfery i wrażenia widocznego autorytetu. Utrzymanie w równowadze triumfalnej dumy i pokory jest być może największą sztuką sprawowania zewnętrznych praktyk religijnych.

Papież siedzi w samotności swego odwiecznego prymatu na podwyższonej katedrze przed bazyliką św. Piotra. Jego zwierzchnia władza jest złagodzona przez poczucie osobistej samotności. Spogląda w dół na rzędy różnej rangi duchownych i świeckich w Kościele, ściśle usadowionych w hierarchicznym porządku, którzy są widoczną formą tej części Ciała Chrystusa. Teologia uczy nas, że wszystkie części ciała są równie ważne. Ale święty teatr nie jest demokratyczny – nikt nie chce, aby takim był, ani aktorzy, ani publiczność.

Dwaj wysocy rangą akolici cały czas towarzyszą Papieżowi podtrzymują jego szaty, kiedy on przechodzi z miejsca na miejsce, i trzymają księgę, z której czyta. Dwaj kardynałowie siedzą symetrycznie poniżej niego, jakby ich mocne uwikłanie w ziemską politykę Kościoła, nie pozwalało im być zbyt blisko papieża, w tym świętym czasie i przestrzeni liturgii. Wszystko to, co widoczne reprezentuje tu coś domyślnego. Jest tu głęboko satysfakcjonujące poczucie porządku, które często w czasie liturgii odsuwa na dalszy plan wiele pytań, wobec których ona sama chce nas postawić. Ale jest w tym także obecny unikalny rodzaj piękna, zagubiony gdzieś w naszym świeckim wieku.

Rzymska kościelna arystokracja starannie chroni swych starych licznych przywilejów nosząc na ornatach wiele ich ozdobnych znaków. Jej obecność jest niezwiązana z głównym wydarzeniem, ale podkreśla, że główne wydarzenie jest częścią czegoś większego. Ambasadorzy, wojskowi, policjanci wszyscy posłusznie siedzą na swoich miejscach. Wśród nich kilka kobiet w mantylach ma prawo siedzieć blisko szczytu władzy. Prawie niewidoczni żołnierze gwardii szwajcarskiej nieporuszenie ignorują zainteresowanie, jakie sobą wzbudzają. Po drugiej stronie ołtarza kościelni hierarchowie siedzą uszeregowani od najwyższej do najniższej rangi: kardynałowie, biskupi, opaci, monsignori, każdy bezbłędnie rozpoznawalny dzięki swym ornatom i szatom. Mniej kamienni od drugiej strony, rozglądają się wokół szukając wzrokiem, tych którzy się na nich patrzą, uśmiechając wdzięcznie do przyjaciół i niezauważając nieznajomych. Na placu

ludzie stoją tak, jak prawdopodobnie stali w starożytnym Rzymie: pełni respektu, podekscytowani, patrzący z podziwem, gorliwie pragnący być częścią wysublimowanej liturgii publicznych obrzędów. Pomędzy najwyższymi i najniższymi, bardziej stłoczeni i mniej wygodnie usadowieni są mnisi, księża i członkowie zakonów religijnych, których założycieli Papież ma dzisiaj wpisać na listę świętych Świętego Kościoła Rzymskiego.

Bernardo Tolomei, założyciel benedyktyńskiego klasztoru Monte Oliveto Maggiore, domu-matki kongregacji oliwetańskiej urodził się w Sienie, mieście wielu świętych, w 1272 roku. Jego szlachecka rodzina była filarem ówczesnego systemu ekonomicznego i politycznego, byli oni między innymi bankierami papieża. Był błyskotliwym prawnikiem. Przyłączył się do dobroczynnego bractwa, jednego z wielkich ruchów religijnych, które pojawiły się w całych Włoszech w jego czasach. Cierpiąc z powodu wady wzroku, kanonicznej przeszkody do wyświęcenia, zdecydował wycofać się ze świata i osiadł z dwoma towarzyszami w odległej części swojej posiadłości, tzw. crete senesi, na której stoi do dziś nasz piękny klasztor. Żyli w duchu ojców pustyni, a prostota i szczerłość ich życia w nieunikniony sposób prowadziła do wzrostu wspólnoty. Posłuszny lokalnemu biskupowi, Bernardo nadał ramy jej życiu i włączył się w instytucję Kościoła poprzez przyjęcie Reguły św. Benedykta. Później papież z Awinionu Klemens VI formalnie uznał ich jako wspólnotę Kościoła. Przez kilka lat Bernardo odmawiał przyjęcia funkcji opata. W roku 1348 zaraza, której straszne żniwo w Europie często zmniejszało liczbę ludności nawet o dwie trzecie, dotknęła także Sienę. Bernardo z kilkoma swymi mnichami wrócił do miasta, aby służyć chorym i ich pielęgnować. Umarł razem z nimi. Jego ciało zniknęło we wspólnej mogile. Proces kanonizacyjny był powolny, ze względu na brak relikwii.

Zostawiając z boku hagiografię, trudno nie być poruszonym żywotem Bernardo Tolomei. Miał niechęć do sprawowania władzy, nawet w swojej rodzinie zakonnej. Urodzony z przywilejami był wolny od więzów kościelnej hierarchii. Jednakże, jakkolwiek mocno trzymał się od niej na uboczu, to żył cały czas w instytucji Kościoła. Tak jak św. Franciszek z Asyżu i Katarzyna Sienieńska – i wielu Włochów dzisiaj – wciąż kochał swą rodzinę, chociaż często widział nieprawidłowe jej funkcjonowanie.

Podczas tej niedzieli na Placu św. Piotra czyniliśmy dokładnie to samo. Pewien Kardynał z Kurii Rzymskiej powiedział mi kiedyś, że tylko wrodzone poczucie humoru, ożywiane częstymi wizytami w domu rodzinnym, dało mu siłę przetrwania w Rzymie. Opowiadał jak w zakrystii przed wielką ceremonią udzielano zwykłym księżom, szeregowcom na drabinie hierarchii kościelnej, wskazówek dot. udzielania komunii: „Może przyjść do was po komunię nawet kardynał, albo biskup. Nie przestraszcie się, udzielcie mu jej w ten sam sposób, jak innym ludziom.” Księża wybuchnęli śmiechem przypominając, że Kościół w swej mądrości od początku uznaje, że *hilaritas- żyj szczęśliwie i ciesz się tym kim jesteś* - jest również częścią świętości.

With much love

Laurence Freeman OSB

Wyspy Salomona, marzec 2009

Anderson

Anderson był złotym chłopcem. Wyróżniał się w nauce i państwo Marist, którzy prowadzili szkołę widzieli przed nim świetlaną przyszłość. Jako przyszły przywódca swego tropikalnego

raju, zostałby może jednym z tych przedstawicieli młodego pokolenia, który zapobiegłby zepsuciu wypływającemu z nędzy i wyzysku ubogich upośledzającemu rozwój jego kraju, jak nieuleczalny nowotwór. Przepełniała go młodość i zdrowie, a pewność siebie zawsze prowadziła do zwycięstwa. Nie zatrzymywał się jednak w zachwycie nad swoimi sukcesami, ale prędko posuwał dalej, podążając za kolejnymi wyzwaniem. Należał do tego rodzaju zwycięzców, którzy nie interesowali się swoimi trofeami. Ludzie lubili przebywać w jego otoczeniu, ponieważ jego powodzenie wydawało się być zaraźliwe. Albo może łatwiej jest nam żyć z poczuciem własnej przeciętności, ciesząc się przyjaźnią niezwykłych ludzi, których nie trzeba podziwiać z daleka, których zwyczajnie się lubi, a i oni odnoszą się do nas w sposób naturalny i z sympatią. Anderson był przystojny, wysportowany i uwielbiał popisywać się, szczególnie zaś przed dziewczętami. Jednym z jego popisów było wyskakiwanie z kajaku napędzanego małym silnikiem, a następnie doganianie go szybkimi uderzeniami krawla i wskakiwanie doń z powrotem. Promieniał przy tym niewinną dumą i strzepywał z siebie wodę, jak młody bóg.

Po jeszcze jednym szczęśliwym i pełnym sukcesów semestrze Anderson pożegnał się ze swoimi nauczycielami i kolegami z klasy, po czym wyjechał do oddalonego o kilka dni podróży domu we wsi na wyspie. Rodzice, bracia, siostry i przyjaciele oczekiwali go z radosną niecierpliwością. Ich życie stawało się o wiele bogatsze, gdy był wśród nich. I tym razem szedł drogą przez wioskę machając ręką i z uśmiechem na twarzy pozdrawiając sąsiadów. Kiedy przekroczył próg domu zatoczył się i padł martwy.

Tam, gdzie umarł, nie było ani szpitala, ani lekarza, który wykonałby sekcję zwłok, a pogrzeby szybko odbywają się na Wyspach Salomona. Żałoba uderzyła w jego rodzinę jak maczeta. Było jednak w ich bólu coś więcej niż tylko żałoba po stracie dziecka: pod jej agonią kryło się ciemne i przerażające pytanie. Powiadomiony o śmierci chłopca o. Adrian, szkolny kapłan, natychmiast przybył do nich i pokrzepiał jak tylko umiał. Dwa tygodnie później starszyzna wioski zadała to pytanie, które każdy w sobie nosił, ale nikt nie śmiało głośno wypowiedzieć: *Nie co, ale kto zabił pięknego i wdzięcznego Andersona?*

Starszyzna знаła oczywiście każdego związanego ze sprawą lepiej niż ktokolwiek z zewnątrz, ale ich kryteria rozwiązania zagadki śmierci Andersona oparte były na odwiecznych wierzeniach przodków, a nie na wiedzy medycznej. Zdecydowali, że wina leżała po stronie ojca Andersona. Kilka miesięcy wcześniej do wioski przybyła japońska ekipa filmowa pytając się o delfiny, które występowały licznie w miejscowych wodach, ale tylko w pewnych okresach. Kręcili o nich film dokumentalny. Delfiny były totemem wioski. Japończycy słyszeli, że niektórzy mieszkańcy wioski mieli dar „przywoływania” delfinów. Skierowano ich do ojca Andersona, który użyczył im swych umiejętności przywabiania delfinów – z sukcesem dla ekipy filmowej i z korzyścią finansową dla samego siebie. Starszyzna stwierdziła, że delfiny były rozniewane za takie ich wykorzystanie i poprzez przodków rodziny zemściły się na Andersonie.

W ich systemie wiary nie było przebaczenia dla ojca Andersona. Załamany, z poczuciem winy i zdesperowany, by uciec przed ciemnymi mocami, które skupiły się nad nim, znowu skontaktował się z o. Adrianem i poprosił o chrzest. Przeszedł etap przygotowania i z wielką ulgą przyjął swoją nową wiarę. Na krótko przed chrztem ponownie zaprosił o. Adriana do wioski, zaprowadził go do chaty bez okien, gdzie na półkach od podłogi do sufitu zgromadzone były czaszki i relikwie przodków. Nie ośmielając się ich dotknąć samemu, wskazał je. Adrianowi, ten schował je do torby i zabrał. Kiedy wrócił do swojego kościoła, z szacunkiem pogrzebał przyniesione szczątki ludzkie w ziemi tuż obok cmentarza. Potem doszły doń pełne dezaprobaty szemrania wśród wiernych, więc jego następcą został poproszony, by pogrzebać je powtórnie, tym razem bezpiecznie w poświęconej ziemi.

Ojciec Andersona został oddanym wiernym miejscowego kościoła, z czasem jego katechetą, z wolnością oddychając wiarą, która wyzwoliła go z lęku.

O. Adrian został arcybiskupem służąc Ewangelii poprzez dar ze swojego życia ludziom, którym potrzeba całego życia, albo jeszcze dłużej, by w końcu spojrzeć na rzeczywistość nowym wzrokiem.

A Anderson? Anderson do dziś niesie z sobą tajemnicę, z której promienieje nieznanne piękno. Bo co tak *naprawdę* usiłuję ono nam ciągle powiedzieć?

Much love,

Laurence Freeman OSB

Ameryka Łacińska, luty 2009

Matka Marii

Aby niczego nie zaniedbać i z determinacją osoby, która zawsze zajmuje się pięcioma czynnościami na raz, Maria nie zgodziła się na propozycję, by przełożyć nasz przyjazd na inny termin. Oprócz tego, że jest żoną, matką i koordynatorką grup medytacyjnych, nieprzerwanie opiekowała się swą umierającą matką. Wszystkie jej dzieci były gorąco zaangażowane w opiekę nad staruszką i chętnie siadały przy łóżku babci, która już od kilkunastu miesięcy leżała w ich domu. Nie była pogrążona w bólu czy cierpieniu, raczej spała głęboko, albo dniami i nocami łagodnie odchodziła i powracała do stanu przytomności. Wydawało się, jakby jej życie już przeniosło się na inną płaszczyznę świadomości bez porzucenia do końca za sobą tego wszystkiego, co dobrze znamy jako nasze życie, codzienności wypełnionej robieniem, myśleniem, ciągłym poczuciem uciekającego czasu, pilnowaniem umówionych spotkań, znajdowaniem przyjemności w posiłkach i planowaniem na przyszłość. Częste doniesienia o stanie umierającej matki dochodziły do nas nawet wtedy, gdy realizowaliśmy nasz program wizyty, rozmów i spotkań, dnia rekolekcji i sesji ze szkolnymi dziećmi. „Wszystko bez zmian, wszystko dobrze, jest spokojna, dodaje otuchy Marii”, szczególnie wtedy, kiedy ta musiała więcej zaangażować się w sprawy dnia. Ale tak naprawdę było jasne, że Maria ani na chwilę nie pozostawała odcięta od obecności swojej matki oraz od owego szczególnego spokoju i cierpliwego oczekiwania, które stwarza wokół siebie dobra i spokojna śmierć.

W ostatnim i bardzo napiętym dniu naszej wizyty, Maria zaprosiła nas do siebie na obiad, o latynoskiej porze, wraz z jej rodziną i zaprzyjaźnionym księdzem. Próbowaliśmy taktownie odmówić, ale na daremno. Powinienem był wtedy pamiętać o tym, że właśnie to czego staramy się uniknąć, często potem okazuje się tym, co pozostanie w naszej pamięci na zawsze. I tak, kiedy czuliśmy, że mamy już tylko dosyć sił by pójść spać, wylądowaliśmy przy suto zastawionym stole wraz z dużą, bardzo energiczną i podekscytowaną grupą biesiadników. Przy końcu uczyty, kiedy już zbieraliśmy się do wyjścia, Maria poprosiła mnie, abym poszedł do pokoju jej matki i z nią się pomodlił. Ogarnął mnie wstyd, kiedy uświadomiłem sobie, że cały ten czas siedziałem tutaj i całkiem zapominałem o umierającej w tym samym domu kobiecie. Byłem jeszcze bardziej poruszony, kiedy dostrzegłem, że pokój jej sąsiadował z tym, gdzie tak beztrudnie jedliśmy obiad. Z chwilą przekroczenia jego progu weszliśmy w atmosferę, która zawsze towarzyszy zbliżającej się śmierci, zaskakująco podobnej do oczekiwania i niepewności nadchodzących narodzin. Owo progowe doświadczenie, bycia jednocześnie tu i tam - moment graniczny. Matka Marii leżała w schludnym, dobrze zaścielonym łóżku, które mówiło o pełnej miłości uwadze, którą była otoczona. Jej głowa lekko spoczywała na poduszce, zupełnie nie

wyglądała na chorą albo niespokojną. Oddychała delikatnie i łagodnie, a jej obecność wypełniała pokój w sposób wolny od wszelkiego ego. Tak jak boska obecność, tak i jej obecność nie stawiała żadnych wymagań - albo też wymagała wszystkiego - a więc dawała się odczuć jako coś, czemu nie można się oprzeć i czego nie ma potrzeby się obawiać.

Maria i ja usiedliśmy obok umierającej i przez chwilę medytowaliśmy w ciszy. Potem odmówiłem krótką modlitwę i znowu zamilkliśmy. Matka Marii nie dała nam żadnego znaku bycia świadomą naszej obecności, poza pogłębiającym się w nas poczuciem jej obecności. To była rozmowa w ciszy, rozmowa, która jest ciszą. Po chwili wstaliśmy szykując się do wyjścia. Pobłogosławiłem umierającą kobietę, podczas gdy Maria zaczęła opuszczać pokój. Kiedy już odchodziłem od łóżka i spojrzałem po raz ostatni na jej matkę zobaczyłem, że szeroko otwartymi oczyma patrzyła prosto na mnie. Było to pełne spojrzenie z głębi wypełnionej światłem. Później nazwałem je błogosławieństwem. Zawołałem Marię, ale oczy jej matki były znowu zamknięte. Prowadzeni intuicją usiedliśmy ponownie, nie w jakimś celu czy zamiarze, tylko po to, aby być obecnym, i aby w pełni uczestniczyć w tym, co się działo. To był rzadki moment w życiu, kiedy z całą pewnością się wie, że się jest we właściwym miejscu i we właściwym czasie i nic innego nie trzeba czynić, jak tylko być obecnym. Umierająca kobieta cały czas oddychała łagodnie, ale coraz silniej wyczuwało się nieuchronnie nadchodzącą przemianę. Po chwili jej oddech zmienił się, zdało się, że z trudem łapie go po raz ostatni, by zaraz potem bez wysiłku rzec się instynktu przetrwania i dać się przenieść w inny wymiar egzystencji. Jej ostatni wydech wydawał się w pełni otwierać na wymiar niepowtarzalnego spokoju, świętej ostateczności, która w tamtym momencie zdawała się całkowicie pochłaniać cały smutek i stratę.

Na naszych oczach wydarzył się ten jedyny moment życia, któremu jedynie równa się dramat narodzin. Tak jak to dzieje się na poziomie głębokiej modlitwy, nasze uczucia i myśli były chwilowo bez znaczenia. Pokój i radość nie były dającymi się uchwycić doznaniem, ale po prostu przygodnymi aspektami rzeczywistości, która przemówiła sama za siebie i o sobie samej. Matka Marii zmarła. Maria straciła swoją matkę.

With much love

Laurence Freeman OSB

Haiti, styczeń 2009

Przybyliśmy, kiedy dzieci jadły lunch. Matka Teresa odwiedziła kiedyś sierociniec w Port au Prince i, co dla niej nietypowe, rozchorowała się podczas swojego pobytu na Haiti. Jedną z tutejszych Misjonarek Miłości, Holenderka, wygląda tak jak ktoś, kto jest zakochany. Opiekuje się dziećmi z takim zaangażowaniem, jak gdyby rozpoczęła tę pracę jako nowicjuszka dopiero miesiąc temu. A jest już tutaj od trzydziestu lat. Pamięta wizytę Matki Teresy, ale opowiada mi z wielką miłością nie tyle o założycielce zakonu, co o tych dzieciach, które przybywają do nich w coraz to większej liczbie. Zdesperowane matki zostawiają je im przy bramie wejściowej misji, inne oddają swe dzieci tylko na pewien czas, tak, aby zostały choć nieco dożywione. I to wszystko dzieje się w stolicy Haiti! W stolicy najbiedniejszego i najbardziej ignorowanego kraju na zachodniej półkuli. W 1803 roku Haitańczycy stali się pierwszymi w historii niewolnikami, którzy wywalczyli wolność w walce ze swymi panami. Potem kupili ją za gotówkę od Francji. Dostojność i elegancka uprzejmość obecna w ich języku, nawet w jego wersji kreolskiej, niezwykle charakteryzują ten poniewierany i uciemiony naród.

Małe dzieci trzymane są w łóžeczkach za wysokimi barierkami. Jest ich tam tak wiele, ile tylko uda się fizycznie pomieścić. Wolna przestrzeń, która pozostaje między łóžeczkami wystarcza tylko na tyle, aby opiekunowie mogli poruszać się i dotrzeć do każdego dziecka z osobna. Dzieci otoczone są troskliwą miłością, ale i tak nie mogą mieć takiego poczucia przynależności, jakiego w tym wieku potrzebują. To miejsce może być domem tylko w sensie domu dla bezdomnych. Ich oczy spoglądają z głębokiej ciszy ich samotności. Jak okrutnie intelektualna była scholastyczna idea, w której Bóg posyłał nieochrzczone dzieci do wiecznej otchłani. Nie miałyby tam nawet do pomocy Misjonarek Miłości. Kiedy te dzieci płaczą, to tak jakby słuchało się kogoś, kto w desperacki sposób próbuje zdobyć bliskość. Ale w ich płaczu obecna jest jakaś gorzka świadomość, że na bliskość, której tak bardzo łakną, jest już za późno. W niektórych łóžeczkach leżą bliźniaki, ich małe kończyny przeplatają się ze sobą, tak, że ich światy wydają się być mniej od siebie astronomicznie odległe. Już chodząc po haitańskich ulicach, a jednak szczególnie w tym miejscu, uświadomiłem sobie jak rozległa jest przepaść między naszymi światami. To tak jak u Abrahama, który sucho powiedział bogaczowi cierpiącemu w ogniu piekielnym za to, że za życia nie pomógł ubogiemu Łazarzowi: Między nami, a wami zionie ogromna przepaść, tak że nikt, choćby chciał, stąd do was przejść nie może, ani stamtąd do nas się przedostać.

Siadam obok łóžeczka samotnego chłopczyka w wieku dwóch lat, może mniej. Siedzi ze skrzyżowanymi nóżkami i łapiąc za poręcz podciąga się do góry tyle, na ile tylko daje radę. Patrzy na mnie, a jego duże, białe oczy kontrastują z czarną, błyszczącą i zdrową skórą. Jest w nich nieufność. Kiedy otwieram dłoń, żeby go dotknąć, odpycha ją z całą swoją maleńką siłą. Wydaje się to dziwne, ale jest w tym geście coś symbolicznego. Nie przemawia przezeń jego poranione serce. Jest to jedynie odruch, którego się z czasem nauczył i który już nim od tamtego czasu kieruje. Chłopiec wpatruje się we mnie pełen bólu - buntowniczo i defensywnie - podczas kiedy ja usiłuję przerzucić most nad przepaścią dzielącą nasze odległe światy. Gdy wkładam rękę do łóžeczka kilkanaście centymetrów przed nim, patrzy na nią tak, jakby rozważał swoje szanse. Nagle uderza mnie w rękę. Jego mała rączka uderzająca w coś dużo od niej większego wydaje się być prawie zabawna. Ale to nie są chwilowe dąsy nieznośnego dwulatka. To głęboki uraz, a nie wybuch złości. Traumatyczne doświadczenie, które do głębi wstrząsnęło jego małą duszą jest dla mnie niedostępne. Jak można wyrazić w zrozumiałych słowach i myślach horror, którego doświadczone przed pojawieniem się mowy i pojęć w umyśle? Tylko miłość może sięgać tak głęboko.

Podaję mu drobne kawałki pożywienia i on wydaje się być nimi zainteresowany. Jednak te małe „transakcje” nie stanowią żadnej podstawy do wymiany uczuć. Tylko miłość jest dosyć cierpliwa by to wyczekać, jak to odkryła owa holenderska zakonnica, dbająca o te dzieci przez trzydzieści lat. Kiedy wraz z moimi przyjaciółmi, medytującymi pielgrzymami, przychodzi nam odejść z tego miejsca, rośnie we mnie powoli przeświadczenie, że tylko modlitwa może tu coś radykalnie zmienić. Tyle, że nie te łatwe modlitwy, w których przedkładamy Bogu prośby. Tylko taka modlitwa, która aż do bólu zmienia tego, który się modli.

Trudno mi było zostawić tego malca. Odchodząc miałem poczucie jakiejś wewnętrznej klęski, choć on z pewnością odczuł ulgę, kiedy już został sam. Może jeszcze przez całe lata przyjdzie mu żyć z jego odrzuceniem, nim to rozpaczliwe piętno w jego umyśle zostanie wystarczająco zatarte. Tak jak te dzieci bombardowane w ostatnich tygodniach w Gazie, jest on jeszcze jedną niewinną ofiarą złożoną na odwiecznym ołtarzu przemocy: ekonomicznej, społecznej czy militarnej, której dogmaty niepodzielnie rządzą światem. Rzecznik obrony Izraela „szczerze” wyraził swój żal z powodu strat wśród ludności palestyńskiej. Obwinił za to Hamas. Zawsze znajdzie się ktoś winny, bo trzeba usprawiedliwić to, czego naprawdę usprawiedliwić się nie da.

Zawsze są też ofiary, jak tu na Haiti, gdzie tylko około pięćdziesięciu procent dzieci ma szansę stać się dorosłymi.

With much love

Laurence Freeman OSB

Copywrite: WCCM.PL

Przekład felietonów : Ewa Pado